Rozmaitości

Dnia 5. Października Nr 40. 1839 Roku.

WIZYJA BLÜCHERA.

Feldmarszałek Blücher widząc się w ostatnich latach życia swego nieczynnym, i prawie zapomnianym, schronił się do swojéj majętności, gdzie w coraz większą posępność i zadumę zapadał. Cierpiał on na wodną puchlinę i płuc zapalenie, którato choroba przez niespokojność jego umysłu jeszcze się bardziéj wzmagała. Od téj chwili można było w charakterze jego szczególniejszą odmianę postrzegać. Dziki, do bitew przyzwyczajony żołnierz, stał się zarazem obawiającym, a nawet lękliwym. Do tego przyszło, że już nie chciał sam na sam w ciemnych pokojach zostawać. Samotność nabawiała go tak wielkiéj trwogi, że się o jego życie lękano. Król pruski dowiedziawszy się, w jakim stanie wiekiem pochylony jenerał jego zostaje, i że życzył sobie kilkakrotnie, aby przed śmiercią mógł jeszcze widzieć króla swego, zjechał natychmiast do Kneblowic.

Przybywszy pod wieczór do zamku, kazał się niezwłocznie zaprowadzić do Blüchera, który podówczas miał lat siedmdziesiąt i cztéry. Jenerał znajdował się w obszérnéj, ciemnéj sali, urządzonéj podług zwyczaju piętnastego wieku, przez co jeszcze smutniejszego widoku nabiérała. Oręże i trofea myśliwskie przyozdabiały ściany, sam tylko płomień z ogromnego komina rozjaśniał ponurość tego miejsca, i rzucał słaby, czerwony odblask na bladą, zapadłą twarz starca, który obwinięty w futro niedźwiedzie, siedział w dużém, czarném, poręczowém krześle. Postrzegłszy króla, chciał powstać na przyjęcie jego, lecz monarcha dał mu spiesznie znak, aby się nie ruszył z miejsca, i podawszy mu rękę, usiadł przy nim.

Hardém skinieniem głowy rozkazał Blücher, aby go z królem samego zostawiono; każdy z obecnych wyszedł natychmiast. Poczém dźwignąwszy się z wielką trudnością z krzesła, po niejakiéj chwili milczenia, rzekł w te słowa:

»Najjaśniejszy panie, prosiłem cię, abyś raczył do Kneblowic zjechać... Wiedziałem, że pod jesień w téj okolicy odbywasz przegląd wojska; ale gdybyś nawet téj chwili był w Berlinie, albo na innym końcu Europy, jakkolwiek umiérający jestem, byłbym i tam pojechał, aby się widzieć z tobą jeszcze przed śmiercią; gdyż ci mam straszną wyjawić tajemnicę.«

»Lecz nim ci ją najjaśniejszy panie odkryję, wprzód przypatrz mi się dobrze. Czytaj w spojrzeniu moich oczu, w rysach méj twarzy, w głosie méj mowy i w szybku moich myśli! Przekonaj się, że mam zdrowy rozum i że obłąkania nie cierpię!... Zdarzają się bowiem chwile, w których sam siebie zapytuję, ażali nie jestem szalonym, który wizyję dnia upłynionego za pamiątkę dawnego zdarzenia bierze. Lecz nie,« dodał, wyjmując złotą bransoletkę z zanadrza; »nie, wszystko to jest prawdą, jest rzeczywistością, wątpić o tém rzeczą niepodobną. Otóż posłuchaj najjaśn. Panie.«

»W roku 1756, gdy się zaczęła wojna siedmioletnia, ojciec mój mieszkający w swoich dobrach w Wielkim Rencowie, wysłał mnie z moim bratem do jednego z naszych powinowatych na wyspie Rügen.«

»Miałem podówczas lat czternaście. Spe-

dziwszy czas niejaki w starej twierdzy i nieotrzymawszy żadnej wiadomości od mojej familii, gdyż Wielki Renców i poblizkie okolice jego były podówczas widownią wojny, wszedłem w służbę szwedzką, do pułku huzarów. W bitwie pod Sukowem zostałem jeńcem, a rząd pruski przymuszał mnie do przyjęcia służby w swém wojsku. Opiérałem się przez rok cały, i dopiéro wtedy odzyskałem wolność, gdym przyjął stopień porucznika w pułku czarnych huzarów. Jednakże zastrzegłem sobie urlop na kilka miesięcy; gdyż od lat trzech nie otrzymałem od mojéj familii żadnéj wiadomości, a los mojéj matki i sióstr obudzał we mnie słuszną obawę. Pojechałem przeto do Wielkiego Rencowa; w podróży mojéj zastałem całą okolicę Meklenburgu-Szweryńskiego okropnie spustoszoną, a że powóz mój z wielką trudnością szedł po gościńcu popsutym, wiodącym do majętności przodków moich, wysiadłem więc z niego, i dosiadłszy konia, puściłem się śpieszno w towarzystwie tylko jednego służącego. Działo się to przed 59 laty, właśnie na dniu dzisiejszym, dwunastego sierpnia, i niemal o téj saméj godzinie, którą ten stary zégar ścienny wskazuje, to jest: o godzinie pół do dwunastéj. Straszny wichr zawodził po lesie, jare błyskawice raziły oczy, pioruny biły okropnie, a dészcz nawalny lał jakby na potop świata! Błąkając się długo po lesie, przyjechałem nareszcie przed bramę i dopiéro wtedy postrzegłem, że tylko sam byłem, i że mój służący w tyle pozostał. Pośród burzy i ciemności stracił mnie z oczu.«

»Niezsiadając z konia, zapukałem rękojeścią szabli w bramę, która żelaznémi płytami i dużémi goździami okuta była. Nikt się nie odezwał na moje wezwanie. Zapukałem po trzykroć, lecz nikogo widać nie było. Nakoniec zabrakło mi cierpliwości, zsiadłem z konia, a brama otworzyła się sama od siebie; nie widziałem nikogo, kto mi tę przysługę wyświadczył. Niestrwożony bynajmniej tym wypadkiem, zostawiłem konia przed bramą, a wstąpiwszy na próg, wszedłem na wschody i dostałem się wewnątrz zamku. Nigdzie nie było światła; żaden szelest ani gwar nie obił się o moje ucho... przyznam się, iż serce moje ogarnęła jakaś trwoga, a zimna drészcz przebiegła po wszystkich moich członkach.«

»Co za nierozsądek!« rzekłem sam do siebie. »Zamek ten jest niezamieszkany; familija moja opuściła go razem ze mną, i zapewne od tego czasu do niego nie wróciła. Ale cóż mnie to teraz ma obchodzić, dostawszy się raz w to samotne i opuszczone miejsce, postaram się, aby tu ile możności jak najwygodniéj tę dżdżystą noc przepędzić.«

»To rzekłszy przeszedłem przez kilka pokoi, a nakoniec przybyłem do sypialni ojca mojego. Na pół zgasły ogień wymykał się płomykiem z popiołu na kominku... Przy jego chwiejącym, migającym się blasku poznałem mego ojca, moję matkę i cztéry siostry w około kominka siedzących, którzy postrzegłszy mnie powstali z swojego miejsca. Chciałem się rzucić w objęcie mego ojca, lecz on wstrzymał mnie skinieniem uroczystym. Wyciągnąłem rękę ku mojéj matce, lecz ta z smutnym wzrokiem cofnęła się odemnie. Wołałem każdę z moich sióstr po imieniu, lecz one nie odpowiedziawszy mi, ujęły się za ręce. Poczém znowu wszyscy pousiadali.«

»Toż mnie nie poznajecie?« zawołałem. »Także przyjmuje familija syna i brata, po tylu latach rozłączenia? Dowiedzieliście się więc, że już wstąpiłem w służbę pruską? Zawierzcie mi, nie mógłem postąpić sobie inaczéj; wolność moję i szczęście zobaczenia was otrzymałem w nagrodę. Pomniéjcie przecie, że od lat szesnastu żadnéj od was wiadomości nie miałem! Jeniec wojenny w służbie szwedzkiéj, rozłączony z wami przez ustawiczne wojny, zostawałem o was w obawie i niepewności. Widzicie, iż odzyskawszy wolność pospieszyłem natychmiast dla odszukania was w tém miejscu, gdzie już wprawdzie nie spodziéwałem się was zastać, ale sądziłem, że się przynajmniej dowiém, dokąd się mam udać, ażeby się z wami zobaczyć.... Jako, ojcze, nic nie odpowiadasz?... Matko, i ty zachowujesz milczenie? O siostry, toż eście zapomniały o tkliwości i rozrywkach, których te miejsca tyle razy świadkami były!«

»Na te ostatnie słowa, siostry moje zdawały się być wzruszonémi. Szeptały coś cicho jedna do drugiéj, powstały z miejsca, skinęły na mnie, ażebym się przybliżył, a jedna z nich ukląkłszy przed moją matką skryła twarz swoję na jéj kolanach. I ja ukląkłem przed moją matką, jakaś tajemna władza pociągnęła mnie ku niéj — a gdym głowę moję do jéj kolan przybliżył, uczułem — o Boże w niebiesiech! — uczułem wskróś jedwabnéj jéj szaty — zimne, stérczące kości. A gdym ujął moję matkę za rękę, ta ręka została w mojéj.... była to ręka kościotrupa! Zerwałem się z miejsca i okropnie skrzyknąłem. — — Aż oto, w oka mgnieniu wszystko zniknęło, a z całego okropnego zjawienia pozostały mi tylko śmiertelne szczątki, które z boleścią w moim ręku trzymałem.«

»Zdziwiony, przerażony, bez przytomności, opuściłem to okropne miejsce; wybiegłem na dziedziniec, zastałem tam mojego konia, i dosiadłszy go, niewiedząc sam co czynię, puściłem się tak szybko jak tylko koń mógł wyskoczyć, goniłem na los szczęścia po lesie. Ze świtem dnia padł koń podemną. Ja sam utraciłem przytomność zmysłów; ludzie moi, nie wiedząc gdziem się im podział, niespokojni o mnie, długo mię szukali, aż nareszcie znaleźli mnie nazajutrz przy odziemku drzewa, leżącego pod koniem z skaléczoną głową. Byłem blizki śmierci, i dopiéro po trzech tygodniach gdym odzyskał przytomność zmysłów, miano nadzieję, że ocalonym zostanę. Potém dopiéro dowiedziałem się, że cała moja familija padła ofiarą wojny, i że zamek Wielki Reńców zrabowano i spustoszono.«

Przyszedłszy do zdrowia, udałem się powtórnie do zamku dla wyświadczenia śmiertelnym zwłokom familii mojéj ostatniéj pogrobowéj posługi. Lecz pomimo starań najusilniejszych, nie mógłem odkryć, gdzie te szczątki zostają. Jedna tylko ręka, niewieścia ręka, ujęta w złotą bransoletkę, leżała w pokoju, w którym się mi to okropne pokazało zjawienie. Wziąłem tę złotą bransoletkę, którą tu widzisz miłościwy królu, a rękę złożyłem w oratoryjum zamku.

Odtąd upłynęło lat niemało.

Przed dwoma miesiącami spałem w tém poręczowém krześle, gdy mnie cichy szelest obudził ze snu. Ojciec, matka i cztéry sióstr stali przedemną, jak niegdy w zamku Wielkiego Rencowa. Siostry skinęły znowu na mnie, ażebym się przybliżył.

»Nie,« rzekłem, »tego nie uczynię, nie przybliżę się!«

Wtedy wszystkie te widma ująwszy się za ręce, toczyły się w około mego krzesła.

»Sprawiedliwość!« rzekł mój ojciec przechodzący koło mnie.

»Żal i skrucha!« wyrzekła z-cicha matka, skłaniając ku mnie swoję twarz zasępioną,

»Modlitwa!« rzekła najmłodsza siostra.

»Miecz!« rzekła druga westchnąwszy.

Potém usłyszałem głos trzeciéj:

»Dwunasty sierpnia!«

A ostatnia powtórzyła:

»Dwunasty sierpnia o północy!«

To rzekłszy, zaczęły znowu sunąć się w około mego krzesła i te same powtarzać słowa. Nakoniec wszystkie te widma skupiwszy się w jedno grono zawołały:

»Do zobaczenia! do zobaczenia!«

Wtedy poznałem, że mój koniec się zbliża, i że mi nic więcéj nie zostaje, jak tylko moję duszę polecić Bogu, a moję familiję Waszéj król. Mości.«

»Kochany marszałku!« rzekł król, »wszystko to, co mi opowiadasz, jest niezawodnie nadzwyczajną rzeczą! Ale czy sądzisz, że gorączka i obłąkanie w tych obiedwóch wizyjach nie miały żadnego udziału? uspokój się, marszałku, nabiérz odwagi, nie podawaj się podobnym wyobrażeniom i miéj w Bogu nadzieję. Jeszcze nam wyzdrowiejesz, i długo żyć będziesz... podaj mi swoję rękę.«

Gdy Blücher nic nie odpowiadał, sam go król ujął za rękę.

Ale ręka Blüchera już zlodowaciała, i właśnie na starym zégarze w sali udérzyła dwunasta.

Feldmarszałek Gerhard Lebrecht Blücher żyć przestał.

POLOWANIE NA WILKI.

Dnia 28. września przyjechałem do Zamczysk, majętności hrabiego Czeczela, jedne

go z najzamożniejszych obywateli Wołyńskich, który dla swojéj biegłości w sztuce łowieckiéj, dla licznéj i dobornéj psiarni, nareszcie dla przepychu i przyrządu w tym względzie, za najpiérwszego myśliwca w całéj Polszcze słynie.

W dzień św. Michała rozpoczyna się na Wołyniu polowanie na wilki. W tym dniu, co tylko jest psów i koni, wszystkie są w ruchu, a myśliwcy przebiegają bory i lasy w rozmaitych kierunkach. Odgłos rogów myśliwskich, trzask harapników, wycie spłoszonego źwierza, szczekanie psów, huk strzelb i wrzawliwy okrzyk rozléga się w powietrzu od samego poranku, i dziki ten koncert trwa aż do późnéj nocy. Piekielny duch polowania nagaba wszystkich mieszkańców tego kraju; starcy, mężowie, dzieci, a nawet kobiéty od téj zabawy uwolnić się nie mogą.

Przyjechawszy do hrabiego, zastałem liczne i dobrane towarzystwo: piękne, wesołe i wystrojone panie, pełne wdzięku i skromności dziewice, młodych kawalerów z ledwo co zasianym wąsikiem, silnych starców z ubielonym włosem, wielu wojskowych, kilku cudzoziemców, nakoniec całą rotę ponurych myśliwców, których naczelnikiem był hrabia. W Zamczyskach odbywać się miały wszelkiego rodzaju rozrywki, przez dzień cały polowanie, a w wieczór tańce i zabawa. Festyny te trwają zwykle przez trzy tygodnie, czasem dłużéj lub króciéj.

Najpiękniejszą gwiazdą pośród tego licznego grona była bezprzecznie panna Kraszewska. Nie od rzeczy będzie nadmienić tu pobieżnie, że Maryja Kraszewska miała błękitne oczy, krucze włosy, smukłą kibić, prześliczną rączkę i najpiękniejszą nóżkę, a chociaż dopiéro dwadzieścia i dwa lat liczyła, przecież już niejednemu księciu, hrabi, baronowi i innym panom z Rossyi i Polski dała odkosza. Zwidzała ona Kijów, Moskwę i Petersburg, a wszędzie młodzież podziwiająca jéj urodę, zwała ją powszechnie królową Ukrainy. Maryja odebrała jak najpiękniejsze wychowanie, miała przytem wrodzony dowcip, lubiła śmiało jeździć na koniu, była namiętną miłośniczką polowania i nieraz na to żaliła się ze łzami w oczach, że się nie urodziła mężczyzną.

Co do mnie, chociaż byłem dopiéro początkowym myśliwym, jednakże skromność moja i to oświadczenie, że się nauczyć pragnę sztuki łowieckiéj, zjednały mi wielką łaskę u niejakiego pana Kamińskiego, który był *alter ego* hrabiego. Pod wieczór uzyskałem pozwolenie towarzyszenia mu do kniei, którą objechać zamyślił. Wziąwszy z sobą cztérech ludzi, udaliśmy się prawie na pół mili w głąb lasu, gdzie już od kilku miesięcy wilków ściérwem karmiono.

»Taką przynętą rozłakomieni,« rzekł do mnie stary Kamiński, »trzymają się wilcy kniei, i można być pewnym, że się je przydybie, a co większa, że się nie będzie mieć sprawy z bestyjami głodem rozżartémi.«

Przy końcu lasu, zatrzymaliśmy się w domku leśniczego. Przyjemnie tam czas spędziłem, gdyż przewodnik mój opowiadał mi rozmaite myśliwskie przygody, w których do cudu podobne zdarzały się wypadki. Ja wierzyłem wszystkiemu na ślepo, co mego mistrza wielce radowało. Jego główną zasadą było: Stój cicho, niezapalaj się, wycéluj dobrze, a strzał nie będzie daremny. O godzinie dziesiątéj puściliśmy się w podszyią knieję. Kamiński napominał nas, abyśmy nie pierwéj strzélali, aż się wilki same na nas rzucą. Mnie, jako cudzoziemcowi, nieprzyzwyczajonemu do takiéj zabawki, nie bardzo w smak poszło to zalécenie. Pogoda była piękna, a księżyc w pełni toczył się jasno po niebie. Stanęliśmy w cieniu drzewa, a jeden z myśliwców zawył w kułak dzikim, ale nieco przytłumionym głosem, który do oddalonego wycia wilka był podobnym. W lesie panowała głęboka cisza; lecz za powtórzonym głosem myśliwca, jakaż przeraźliwa, dzika, żałośno-przeciągła muzyka, nieobiła się o nasze uszy! Zdało się, jakby kilkadziesiąt bab razem nad umarłym zawyło! Odpowiedź ta wyszła z bagna, gęstą łoziną zarośniętego, w oddaleniu niemal dwudziestu sążni. Przyznam się, iż to zaintonowanie, które się razem z rozwartych gardzieli i głodnych jelit wydobywać zdawało, nie bardzo przyjemne wrażenie na

mnie sprawiło. Uczułem, że mnie zimna dreszcz na wskróś przejęła, i mimowolnie ruszyłem się z miejsca, jakby mię co potrąciło. Towarzysze moi słuchali z największą spokojnością tego różno-językcznego koncertu, który w uszach moich ostro świdrował. Wyjąca zgraja ruszyła z swych łożysk, słyszeliśmy ją, jak się przełamywała przez chaszcze w niejakiém oddaleniu, lecz nie mogliśmy jéj widzieć. Kamiński gwizdnął jak wudwudek, dając hasło, byśmy do domku leśniczego wracali.

Stary, doświadczony myśliwiec ten zacierając sobie ręce rzekł: »Mamy dziewięcioro młodych.«

»Ja sądzę,« odrzekłem, »że ich jest pięćdziesiąt, a podług donośnego głosu, możnaby mniemać, że to są zupełnie dorosłe wilki.«

»Niemasz tylko dziewięć, ani mniéj ani więcéj; jestto pomiot tegorocznéj wiosny. Są cokolwiek niecierpliwe, bo im głód dojmuje. Ojciec i macierz poszły pod wieczór na włóczęgę szukać karmu, i zapewne aż świtem powrócą.«

Z dodniówką o godzinie trzeciéj odbyto drugą próbę, która tenże sam skutek miała. Nakoniec przed samym świtem cztérech myśliwców zatrąbiło razem w kułaki, a dwukrotna odpowiedź z dwóch przeciwnych strón, przekonała nas, że zacnym rodzicom téj pięknéj rodziny, żadne się nie wydarzyło nieszczęście. Z niecierpliwością oczekiwano naszego przybycia w zamku, i mocno się uradowano przyniesioną nowiną. Dano na stół sute śniadanie. Panowie wychwalali swoje psy, strzelby, i zręczność osobistą. Przechwałki te wkrótce się mi sprzykrzyły, dla tego wyszedłem na dziedziniec przypatrzyć się psiarni i wszelkim przyrządzeniom do polowania. Najprzód szło dwadzieścia zielono pomalowanych, cztéro-konnych wozów, przy nich piętnastu silnych włościan z dużémi mazugami w rękach. Na tych wozach złożone były sieci do obstawienia lasu. Potém szło sześćdziesiąt w trójkę posforowanych psów, przy nich dwunastu dojeżdżaczów w zielonéj barwie, po cztérech z przodu i z tyłu, a po dwóch po obu bokach. Przewodnik na wronym koniu, całkiem w skórę obszytym, pędził czwałem to wprzód to w tył dla utrzymywania porządku. Jego powinnością jest przedzierać się przez najgęstsze chaszcze. Nakoniec sześciudziesiąt Kozaków w stroju narodowym, uzbrojonych oszczepami, postępowało na koniach. Każdy z nich prowadził na smyczy trzech dużych ogarów polskiéj, wołoskiéj i rossyjskiéj rasy, które równie z odwagi, siły, jak i z żartkości są słynne.

Poczém hrabia z swoim podręcznym udał się do lasu dla wydania potrzebnych rozkazów do podłożenia kniei psami. W godzinę później uszykował się przed zamkiem długi szereg karét, bryczek, karyjolek, tudzież innych, różnych kształtów powozów. Dla panów i pań wyprowadzono prześlicznych wierzchowców. Wszystko było w największym ruchu; mężczyźni mieli na plecach tajstry, damy zaś wystąpiły w najpiękniejszym negliżu. Panna Kraszewska znajdująca się w gronie najcelniejszych myśliwców, jechała na karo-gniadym rumaku, któregoby się ani Murat, ani Platów, ci dwaj straszliwi i niezmordowani jeźdzcy nie powstydzili. Rumak ten, jakkolwiek ognisty, jednak posłuszny był malutkiéj i pięknéj rączce, która nim podług woli na wszystkie strony powodziła.

Piękna ta Ukrainka tak mocno zajęta była ulubioną skłonnością swoją, że bynajmniéj nie zważała na spojrzenia, które za nią z podziwieniem ścigały.

Z pośpiechem przybył orszak na przeznaczone miejsce, na którém dla dam rozścielono dywany, i zkąd całemu polowaniu przypatrywać się mogły. Kamiński, który jeszcze raz dobitnie nas upomniał, abyśmy do żadnego innego źwiérza nie strzelali, jak tylko do wilków, i to aż wtedy, gdy będzie wydane hasło, ustawił nas niemal na pięćdziesiąt kroków jednego od drugiego na drodze, która przez las prowadziła. Kilku panów i dam na koniu, a między témi i powabna Kraszewska, przyłączyło się do Kozaków, którzy z psami pilnowali przesmyku w stepy. Obstawiono las parkanami. Gdy już wszyscy w pogotowiu stanęli, ozwały się trąbki myśliwskie i psy w las puszczono. Nie długo trwało, aż jeden z psów wytropiwszy ślad, zagrał na całe gardło; na ten odgłos odwiodłem kurek

u strzelby, i byłem w pogotowiu; wkrótce odezwał się i drugi, nareszcie zaczęła grać cała zgraja psów, która przy odgłosie trąb myśliwskich i krzyku dojeżdżaczy, tak miło-dźwięczną tworzyła wrzawę, jaką kiedy w życiu mojém słyszałem. Ruszono wilków z legowiska; widziałem jak na strzał przedemną przemykały, ale strzélać nie było wolno. Nakoniec dano hasło, i téj samej chwili huk strzelb i głos Kozaków czatujących przy stepie, rozlégł się po całym lesie. Nadbiegło ku nam pięć młodych wilków, ale bardzo lękliwych, z których, chociaż na strzał nie stanęły, jednego ubiłem. Polowanie trwało prawie całą godzinę. Zwolna uciszyła się wrzawa, otrąbiono knieję i dano znak do odwrotu. Kozacy poznosili na wóz ubitych wilków, a my pospieszyliśmy ku stronie, gdzie bawiły damy.

Lecz jakże smutny uderzył nas widok! Pośród grona przelękłych dam, piękna Kraszewska leżała bez pamięci jak nieżywa na ziemi; śnieżna jéj twarz była krwią zbryzgana, suknia poszarpana i ziemią powalana. Stary wilk, samiec, wymknąwszy się z pośród zgrai psów, usiłował przedrzéć się w stepy. Puszczono na niego sześć ogarów, lecz odjadał się z wściekłością. Utrudzony walką, chciał nareszcie zawrócić do lasu, ale panna Kraszewska pomknąwszy się naprzód, zabiegła mu drogę. Wilk rozsrożony rzucił się obces na konia i taką mu kłami zadał w brzuch ranę, że padł zaraz na miejscu. Poczém wskoczywszy na nieustraszoną, z konia zrzuconą amazonkę, rozpoczął z psami nową walkę, aż nareszcie jeden z Kozaków nadbiégł i ująwszy go za wiechę, oszczep w nim utopił.

Niebezpieczny był stan Maryi Kraszewskiéj. Przywołano lékarza, który jéj natychmiast krwié upuścił, a gdy nieszczęśliwa do siebie przychodzić zaczęła, pocieszał obecnych nadzieją, że wkrótce przyjdzie do zdrowia. Naprożno szukano jéj narzeczonego, niejakiego pana Piotrowskiego poetę; koń jego, który jeszcze nigdy prochu nie wąchał, pierzchnął razem z jeźdzcem do bezpiecznéj stajni.

W wieczór nie było już balu, słyszeliśmy bowiem, że zdrowie nieszczęśliwéj Kraszewskiéj coraz bardziéj się pogorszało. Jakoż w ośm dni późniéj, zeszła z tego świata. *(Adler.)*

NIEZNAJOMY W CHALONS.

Frańciszek i Maryja byli najnieszczęśliwszymi kochankami w całym departamencie Marny; tak przynajmniéj zdawało się każdemu, kto ich widział wieczorem dnia 19. października 1812 r. siedzących w oberzy przy gościńcu St. Vincent w okolicy Chalons. Frańciszek, posługacz w oberzy, miał twarz tak zasępioną, jak ów więzień, który usłyszawszy swój wyrok śmierci, w kilka godzin ma być straconym, a piękna córka oberzysty tak rzewnémi zaléwała się łzami, jak gdyby niémi opłakać chciała zgon każdego z młodzieży francuzkiéj, który zginął w lodowatych stepach rossyjskich. Ale też nie mały smutek dotknął w tym dniu serca obojga kochanków. Frańciszek i Maryja, jako najpiękniejsza ślubna para w całéj tej okolicy, za zezwoleniem rodziców udała się była jeszcze tego samego dnia do urzędu municypalnego, dla pozyskania od niego potwierdzenia do zawarcia z sobą ślubów małżeńskich. Lecz urzędnik miejski, odmówił im w téj mierze swojego zezwolenia; a to z powodu, ponieważ wyszedł rozkaz cesarski, na mocy którego żadnemu młodemu mężczyźnie, któryby zdatnym był do boju, nie wolno było przed upływem pewnego czasu, zawiérać związków małżeńskich, gdyż nieszczęsna klęska, którą armija w kraju rossyjskim poniosła, wymagała nowego i wielkiego zaciągu wojska. Z tego powodu każdy kochający honor mężczyzna, powinien był gotowym być do podniesienia oręża za sprawę swéj ojczyzny.

W takim przypadku Frańciszek, który niedawno był najbardziéj rozkochanym posługaczem w całéj Francyi, został teraz najnieszczęśliwszym nowo zaciągnionym żołniérzem; powinniśmy przeto mieć wzgląd na jego twarz rozpaczliwą, o któréjśmy na początku téj szkicy namienili. — Nieszczęśliwi oblubieńcy pogrążeni w największym smutku siedzieli przez niejaki czas sami jedni w gościnnéj izbie; gdy oto nagle zajechał powóz na dziedziniec, i ktoś mocno zadzwonił. Frańciszek był zwinnym posługaczem, dla tego stłumiwszy natychmiast głęboką boleść swoję, poskoczył ku drzwiom, a Maryja za wiele miała przymiotów płci swojéj, aby natychmiast zapłakanéj swéj twarzy melancholicznego wdzięku nadać nie umiała.

Wkrótce potém wszedł do pokoju jakiś małego wzrostu, cokolwiek otyły mężczyzna, okryty długim, podróżnym płaszczem. Przypatrzywszy się mu z blizka, łatwo poznać można było, że on także nie w lepszym był humorze. Włos zmierzwiony spadał niedbale po jego zmarszczoném czole, z oczu jego patrzył jakiś smutek głęboki, a na ustach widać było uśmiéch boleśny.

Gdy mu żądane wino postawiono, przerwał milczenie.

»Dla czegoż tak smutne są twarze wasze? zdaje się, jak gdybyście opłakiwali kogoś, który w śniegach rossyjskich lub pod lodami Berezyny życie utracił?«

»Ach, łaskawy panie,« odrzekła Maryja »nie tak się mają rzeczy. Będąc sami nieszczęśliwymi, niemamy czasu obcej płakać niedoli. Dziś z rana mieliśmy się pobrać; ale cesarz zabronił, a mój Franciszek musi iść na wojnę, z której teraz tak mało kto powraca.«

»A tyż Franciszku, co mówisz na to?« zapytał nieznajomy.

»Co do mnie zniósłbym los mój cierpliwie i poszedłbym z ochotą, gdzie mnie sława woła, gdyby tylko moja Maryja nie tak bardzo płakała. Jestem Francuzem, znam świętą powinność ku ojczyźnie, i zbyt mocno kocham cesarza, abym miał sobie za nieszczęście walczyć i zwyciężać pod jego chorągwiami.«

»Mnie się także tak zdaje, waleczny przyjacielu, że potrzebie uledz należy. Ale znaszże ty cesarza?«

»Nigdy nie miałem tego szczęścia widzieć go z twarzy. Gdy cesarz wielką armiję do Moskwy prowadził, byłem wtedy ciężką chorobą złożony, a moja wierna Maryja nie odstępowała odemnie.«

»Jako, ty nie znasz cesarza, i przecież go kochasz? a kochasz za to, że twoich braci na rzeź powiódł w stepy rossyjskie i tam ich w lodach pogrzebał?«

»Łaskawy panie,« odrzekł Franciszek, »i pan nigdy nie widziałeś Boga, a przecież go kochasz zapewne — a co się wielkiej armii tyczé, ją prowadził cesarz do zwycięztwa i sławy — onże temu winien, że inaczéj wypadło — człowiek zamyśla a pan Bóg stanowi. — Niech pan tylko w to poradzi, aby Maryja nie płakała, a ja chętnie pójdę, gdzie mnie sława i ojczyzna wzywają.«

Szczerość i zapał uczuć, z którémi Franciszek wyrzekł te słowa, sprawiły głębokie wrażenie na nieznajomym. Kazał sobie podać pióro i atrament, wydarł z pugilaresu kartkę papiéru, napisał na nim słów kilka i złożywszy go w kształt listu, oddał Maryi z témi słowy:

»Jutro skoro świt pójdziesz z Franciszkiem do urzędu municypalnego, oddasz tę karteczkę urzędnikowi cywilnemu i będziesz czekać cierpliwie na to, co się daléj stanie. — Mój powóz już zajechał. Bądźcie mi zdrowi moje dzieci!« To rzekłszy wyszedł.

Dopokąd tylko Franciszek i Maryja oddalający się powóz zasłyszeć jeszcze mogli, stali jak wryci i patrzyli w milczeniu na siebie; ale skoro już ucichło, zamknąwszy bramę, każde z nich w myślach zanurzone poszło do swojéj izby, a wkrótce północ wszystkie ich troski w słodkie sny ukołysała.

Zaledwo tylko co zaświtało, już Franciszek i Maryja stali przed domem municypalnego urzędu. Urzędnik, który dopiéro co wstał z łóżka, wyszedł na przeciw nich, i odebrał z gniewem papiér od przestraszonych kochanków. Ale gdy go otworzył i kilka słów przeczytał, z przestrachem przetarł sobie oczy, zdjął z uszanowaniem co prędzej z głowy szlafmicę i zaczął czytać:

»Urząd municypalny wykona, co rozkazuję: Jest moją wolą, aby Franciszek, posługacz w oberży pod godłem: *miasto Paryż*, został niezwłocznie zaślubionym z Maryją, córką właściciela téjże oberży. Uwalniam go od wojskowego zaciągu, niech zostanie w ojczyźnie i stara się wychować dzieci swoje na dobrych obywateli, którzyby tak jak on Francyję i swego cesarza kochali.« Napoleon.

Łatwo się domyślić, jak zdziwionym był burmistrz i jaka radość przejęła serce kochanków.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 40. i obejmuje: 1) O rzepiu i o przyczynach wymarzania onego. 2) O przechowywaniu owoców (dokończenie). 3) Wykaz spalonego drzewa w gorzelniach hrabiego Alfreda Potockiego w dobrach Kurowieckich. 4) Nowy wniosek o pszczelnictwie. 5) Wiadomości czasowe.

Lwowianin, wydany w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt 4. — témi dniami prassę opuścił.

Z Warszawy. W dniu 22. lipca roku bieżącego zakończył tu życie Ignacy Benedykt Rakowiecki, znakomity literat i uczony wydawca ważnego dzieła w języku polskim *Prawda Ruska*. Był członkiem b. Król. War. Tow. Przy. Nauk. i Rejentem Gubernii Mazowieckiej. Ciąg całego życia swego poświęcał on badaniu starej sławiańszczyzny. Kilka dzieł bardzo szacownych w rękopismach pozostawił, a mianowicie dzieło, którego druk ledwo co przed śmiercią rozpoczął, pod nazwą: *O istotnych i naturalnych potrzebach człowieka*, którego to dzieła wykończeniu ostatnie lata życia wyłącznie poświęcał. Badania jego i pomysły we względzie sławiańszczyzny rzuciły niezmierne światło na stan, zwyczaje i obyczaje Sławian przed-chrześcijańskich. (K. W.)

Pan Józef Paszkowski, przełożył Goetego *Fausta*. Przekład ten jest wierszem i miał się udać. — Słychać, iż mają wyjść wkrótce *Powieści Józefa Korzeniowskiego*. O ogłoszonych w Kijowie tegoż dramatach ucichło i nie wiadomo czy tom drugi prasę opuścił. Wielką szkodą byłoby dla literatury, gdyby dalsze tomy nie wyszły.

Z Kijowa. Przygotowują się tu do wydawania polskiego pisma czasowego, pod tytułem: *Przeglądnik*. Niezmordowany Kraszewski ma być i tego pisma współpracownikiem.

Dante i katolicka filozofija w trzynastym wieku. Pod tą nazwą wyszło w Paryżu nowe objaśnienie dzieł poety, który »Boską komedyję« napisał. Pan Ozanam, autor tego komentarza, jest tego zdania, że wykładacze myśli Dantego dotychczas mało zważali, albo też niedokładnie zrozumieli filozoficzną dążność, która podobno główny cel jego dzieł stanowi. Nowy komentator przedstawia z tego powodu najprzód powszechny obraz trzynastego wieku, potem opisuje rozmaite koleje owoczesnéj filozofii, wiadomości i przygody Dantego, i okazuje jaki wpływ wszystkie te przyczyny razem wywiérały na zasady i sposób myślenia tego wielkiego poety. Następnie filozoficzną dążność tę wskazuje on w samym rozbiorze »Boskiej komedyi«, tudzież w innych pismach Dantego; charakteryzuje cały system dokładnie, porównywając go z najsławniejszémi filozoficznémi pomysłami Wschodu, grecko-rzymskiéj starożytności, średniego wieku i nowszych czasów, a nakoniec dołącza niektóre pobieżnie zbiérane owoce swoich badań, pomiędzy którémi rozprawa o Beatrycze, pewnym angielsko-normandzkim poemacie z trzynastego wieku, tudzież o wielu na francuzki język przełożonych, i z obecnością mających styczność ułamkach z pism Bonawent. i Tomasza z Akwinu się znajduje.

Rossini. Dziennik »*France musicale*« utrzymuje z pewnością, że Rossyni na przyszłą zimę do Paryża powróci, i że długa niebytność jego dla kunsztu bezowocną nie była. Wielki ten mistrz miał pisać do jednego z swoich przyjaciół zostających w Paryżu, że bynajmniej jeszcze się nie zrzekł prac, które imię jego wsławiły, i tylko dla tego do Włoch pojechał, aby umysł jego po mozolnych trudach w ojczyźnie wypoczął i że za powrotem swoim wielką liryczną kompozycyją zająć się zamyśla.

Turnieje w Eglintoun. Szkockie dzienniki donoszą o drugim i trzecim dniu turniejów w Eglintoun

Castle w Szkocyi, jak następuje: Jeżeli festyn ten na dniu piérwszym wiele ucierpiał przez niepogodę; deszcz, który dnia następnego lał strumieniem, zniweczył go zupełnie. Plac boju był do jeziora podobny. A jednak zgromadziło się przeszło 20,000 ludzi, z których ledwo 600 pod dachem umieścić się mogło. Widać tam było prawdziwie komiczne sceny. Król turniejów, margrabia Loudonderry, w zbroi rycerskiej siedząc na rumaku, trzymał deszczochron nad sobą. Na wiadomość, że i plac bankietu i balu woda zalała, niejedno zachmurzyło się czoło. Nakoniec deszcz zaczął się lać przez namioty, które nad ławkami były rozpięte; rycérze, damy wszelkiej godności, szkoty, dudarze, trębacze, heroldowie, wszyscy przemokli do nitki. Rycérz czerwonego smoka z ogromnym czerwonym nosem, usiłujący ochronić przed ulewą swój ubior, przedstawiał zabawny widok. Drugi, przezwany od ludu królem piękności, podobny zupełnie do węglarza, a przytém widocznie wódką podochocony, zataczał się po placu bojowym. Nakoniec cały orszak widzów rozpoczął śpieszny odwrót, przy którym kilkaset trzewików i wiele kawałków sukni jedwabnych w błocie pozostało. Trzeci dzień turniejów w nagrodę za niespracowaną gorliwość uczestników i widzów, uwieńczony był najpiękniejszą pogodą. I w tym dniu, równie jak i w drugim, nie przedstawiała walka nic nowego, wyjąwszy to, iż margrabia Waterford z konia w piasek zrzuconym został. Na ostatnich turniejach, w których ośmiu rycérzy rąbało się mieczami, pan Irwingham odniósł lekką ranę w ramię. Zresztą nie było żadnego przypadku. Cały ten festyn, który nawet trzeciego dnia jeszcze się nie ukończył, kosztował przedsiębiercę lorda Eglintoun najmniej 20 do trzydziestu tysięcy funtów szterlingów!

Zegar nieszczęścia. »Przewina«, trajedyja Mülnera, była już graną na wszystkich scenach niemieckich, tylko jéj jeszcze na Pesztyńskiéj nie przedstawiono. Nakoniec ówczesny dyrektor na usilne wezwanie publiczności, postanowił ten dramat przedstawić. Porozdawano najzdatniejszym aktorom role, odbyło kilkakrotnie próby, słowem, wszystko szło przewybornie i obiecywało jak najświetniejszy skutek. Nadszedł wieczór przedstawy. Teatr był przepełniony, a liczni widzowie oczekiwali z największą ciekawością rozpoczęcia się sztuki. Piérwsze trzy akta przedstawione z wielką starannością, sprawiły niewymowne wrażenie, a publiczność z ciśnioném sercem oczekiwała okropnéj katastrofy; aż nareszcie po raz czwarty podniesiono zasłonę i nadeszła straszliwa scena, w któréj Hugo i Elwira śmierć sobie zadać mają. W téj nieszczęsnéj chwili aktor przedstawiający Hugona, postrzegł z niewymownym przestrachem, że na stole nie było zégara przeznaczonego do wskazywania północy, a tém samém godziny śmierci Elwiry. »Nié ma stołowego zégara,« szepnął cicho po za kulisy, a wiadomość ta rozeszła się z pośpiechem pomiędzy wszystkie na scenie zatrudnione osoby. Rekwizytor pokazawszy spis, przekonał, że na nim nie było wpisanego zégara. Dyrektor obruszył się na dozorcę i rozkazał, aby natychmiast o zégar stołowy się postarał. W tém niespodzianie nawinął się fryzyjer towarzystwa aktorów, mieszkający razem z innémi podrzędnémi osobami przy gmachu teatralnym. Ten oświadczywszy, że ma zégar stołowy, otrzymuje zlecenie, ażeby go jak najprędzéj przyniósł. Z największym pośpiechem udaje się tenże do swego pomieszkania i w przeciągu chwil kilku, przynosi śmierć zapowiadający zégar, który posunięty na godzinę dwunastą, postawiono nieznacznie z po za kulisy na stół, oznajmując przytém rekwizytorowi, że chcąc, aby zégar uderzył godzinę dwunastą, tylko za sznurek pociągnąć go należy. Aktor przedstawiający Hugona rozwlekał tymczasem ile możności swoję scenę, aż nareszcie widok stołowego zégara ożywił w nim odwagę; będąc przytém wsparty doskonałą grą Elwiry, przedstawił całą tę scenę z największą naturalnością. Zbliża się nakoniec straszliwa chwila, grobowa cichość osiada w całym gmachu, niesłychać najmniejszego oddechu, we wszystkich widzach bije serce z przestrachu, przysposabia się najtragiczniejsze wrażenie; w tém rekwizytor pociąga za sznureczek, przeznaczona godzina uderza, lecz co za nieszczęście! po każdém uderzeniu zégara i kukawka się odzywa, i potąd kukać nie przestała, aż pokąd zégar dwunastej nie wybił! Wyobrazić sobie można przestrach Hugona i Elwiry, przerażenie dyrektora i głośny śmiech z omamienia ocknięłej publiczności, który się wzmógł do tego stopnia, iż aktorowie nieukończywszy sztuki, kortynę spuścić kazali.

Dziwotwór. Przeszłego roku w Sardynii w Sassory, urodziło się dziecię, które dwie głowy miało. Nie wiedziano, jak w téj mierze przy chrzcie sobie postąpić; nareszcie postanowiono każdą głowę ochrzcić z osobna. Jednéj głowie dano na imię Ryta, drugiéj Krystyna. Dwugłowe dziecię to przesłano tamecznemu towarzystwu badaczów natury, u którego zostając, dopiero przed niedawnym czasem umarło. Dopokąd Ryta i Krystyna były zdrowe, bił puls jednakowo w obiedwóch; lecz gdy Ryta, będąca już z urodzenia słabszą, zachorowała, puls zaczął bić mocniéj u Krystyny. Konając przez dni kilka, Ryta umarła, Krystyna zaś skonała nagle, skrzyknąwszy tylko raz jeden, w chwili gdy Ryta ducha oddała. Przy otworzeniu ciała okazało się między innémi, iż w piersiowym dołku były dwa serca, które się kończynami swemi stykały, lecz płaskością od siebie oddalonémi były.

Uroczystość w haremie. W dniu, w którym młodemu sułtanowi Abdul-Medszydowi przypasano do boku szablę, odbył się także uroczysty wjazd do cesarskiego haremu. Matka sułtana z powodu szczególniejszéj łaski zaprosiła na ten festyn także dwie Francuzki, żony dyrektorów mennicy, i wszystko to, co paryzkie dzienniki z opowiadania tych kobiet nam udzieliły, przywodzi nam w pamięć owe dziwne bajki z »Tysiąc nocy i jedna.« Podłoga wyścielona była najbogatszémi szalami i dywanami, a tron sułtana wykładany był perłami, rubinami i smaragdami. Gdy sułtan otrzymał błogosławieństwo od swojéj matki, ciotka Isma przyprowadziła mu młodą niewolnicę, z któréj zdawał się być bardzo zadowolonym. Poczém tysiąc niewolnic rzuciwszy się przed nim na kolana, całowało mu nogi; a młode Czerkaski rozrzucały tymczasem takie mnóstwo cekinów po podłodze, że w nich istotnie brnąć musiano. Gdy wszystkie piękne mieszkanki haremu złożyły swój hołd sułtance, chciały także obiedwie zaproszone Francuzki ucałować nogi towarzysce sułtana, któryto hołd ona jednakże tylko za wyraźnym rozkazem matki sułtana i to z największą nieśmiałością przyjęła. Matka sułtana na pamiątkę dnia tego, dała każdéj niewolnicy w podarunku chustkę, w któréj tysiąc piastrów zawiązanych było. Tym sposobem zakończył się festyn, w którym piękność i przepych oryjentalny w całym blasku jaśniały.

Pewien młody mieszkaniec Indyi Wschodnich ujrzawszy po raz piérwszy lód w Edynburgu, rzekł, że to jest uśnięta woda.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*